CENA WOLNOŚCI

ANTOLOGIA TEKSTÓW NAGRODZONYCH
W KONKURSIE LITERACKIM DLA OSÓB MIGRANCKICH

E-BOOK

WSTĘP

Cena wolności

Wolność w naszym codziennym życiu możemy dostrzec w drobnych, z pozoru nieistotnych rytuałach – w chwili ciszy, w trakcie spaceru, w pozornie nieistotnym doborze słów, a nawet w spojrzeniach, zapachach, tęsknotach. Jednak bywa, że dążenie do wolności przypłacamy ogromnym zmęczeniem i strachem. Ta antologia jest zapisem właśnie takich momentów: nieoczywistych, kruchych i nierzadko sprzecznych ze sobą.

Teksty zebrane w publikacji napisano w języku polskim, który dla żadnego z twórców nie jest językiem pierwszym. A jednak to właśnie w tym języku i poprzez własną wrażliwość literacką opowiadają o ważnych sprawach. Język polski staje się tutaj nie tylko narzędziem komunikacji, lecz przestrzenią artystycznego dialogu – rozmowy pomiędzy tym, co było, a tym, co jest możliwe. W tych opowieściach wolność nie zawsze oznacza wybór. Czasem bywa przymusem: koniecznością odejścia, ucieczki, przetrwania. Niekiedy przychodzi zbyt późno albo kosztuje więcej, niż można było przewidzieć. Autorki i autorzy tych tekstów nie idealizują wolności. Przeciwnie: przyglądają się jej z bliska, sprawdzają jej fakturę, ciężar, zapach. Pokazują, że wolność bywa niepełna, nieczysta, okupiona kompromisem albo milczeniem. A jednak pozostaje wartością, której nie da się porzucić bez utraty siebie.

Konkurs literacki dla osób migranckich był zaproszeniem do dialogu — między językami, doświadczeniami i perspektywami. Zebrane tutaj teksty są wielogłosową, niejednoznaczną, czasem niewygodną odpowiedzią na to zaproszenie.

Dziękuję wszystkim uczestniczkom i uczestnikom konkursu za nadesłane teksty. Dziękuję również jurorom – Dorocie Ryst, Michałowi Jankowskiemu i Samirowi Saadiemu za tę wspólną literacką przygodę.

Paweł Łęczuk
Koordynator projektu Dialog Międzyjęzykowy w Praktyce

I NAGRODA

TATIANA SHUISKAIA

Niedziela nie dzieli

gdy w niedzielę wchodzę do “Żabki”
nie sądzę że wchodzę do bagna
to jednak nawyk a ten nawyk jest zły
mam wiele złych nawyków
najgorszym z nich jest zwyczaj
okłamywania dzieci rano
o brak grudek w kaszy mannej
i mannie niebiańskiej
oraz to głupie powiedzenie:
“Będzie dzień, będzie jedzenie”
to ciągłe kłamstwo na temat przyszłości
to gołosłowie że zagubione skarpetki się znajdą
ale zagubione skarpetki to wcale nie jest drobiazg
mieszkałam na ulicy która nazywała się Żabi Kruk
z tą ulicą była związana legenda o diable i róży
oraz pięknej kobiecie i małej żabce
która uratowała wielką miłość
może być ta “Żabka” też kogoś uratuje w tę niedzielę?
dopisuję wraz z pogodą
małymi małpkami i dużymi literami
tak jak w “Abecadlo”
gdy patrzę na zdjęcia Susan Sontag
zrobione przez Annie Leibovitz w łazience
na łożu śmierci i na bujanym fotelu
myślę o moich już martwych psach
mam wrażenie że esej o zagubionym
mógł być napisany fioletowym atramentem
bezpośrednio na korze mojego mózgu
mózg ma dużą powierzchnię
ale jest zmięty jak kartka papieru

z niewysłanym listem
który wyrzucam do kosza
niszczarka do papieru to dość głupi wynalazek
jakby naprawdę można posiekać fakty
jak kapustę na cienkie paski
wirus opryszczki jest przenoszony
przez pocałunek
a miłość jest przerażoną suczką maltańczyka
która gryzie serce
ból to jedyna rzecz której nie można zgubić
ale można ją wywrócić na lewą stronę jak skarpetę
właśnie to zrobię jutro. *Dziś.*

Cena wolności

cukier trzcinowy w mojej herbacie
rozpuszcza się wolniej
niż zwykły cukier
widocznie też jest o 30% wolniejszy
w końcu trzcina rosła na słońcu
a nie była ukryta w ziemi

szczęśliwy ptak w opakowaniu
jego skrzydło dotyka narysowanego słońca
lecz nie może rozerwać folii
rośnie wolniej niż zwykły kurczak
30 % wolniej niż zwykły kurczak
dumnie informuje napis

liczę
30% wolności
o 3 cm więcej ściółki
o 10 minut dłuższy spacer
o 1 cm^2 więcej przestrzeni
na gram mięsa
w supermarkecie przed ladą stoi chłopiec i pyta
co to znaczy że kurczak był o 30% wolniejszy
ekspedientka wzrusza ramionami
znaczy że jest droższy

a cukier tymczasem nie rozpuścił się do końca
na dnie filiżanki zostaje brudny osad
przypominający ptasie odchody na dnie klatki
o ulepszonych warunkach bytowych

Hero(strates)
Ile natura postawiła pomników wolności?
ile było tych drzew rosnących prosto w niebo?
a my je ścinamy zrzucamy z cokołów
my niczym pijane lwiątka
ze skórą z dywanu do przedpokoju

Ale to nie my, prawda? Nie jesteśmy tacy

Dumnie nosimy korony z tektury z recyklingu
naklejki “eco” często wyglądają jak “ego”
wśród emotikonów na ekranie
wybierasz zielone serce
i masz nadzieję na synchroniczną odpowiedź

Mężczyzna brzęczy w trybie oszczędzania energii
symuluje algo(rytm) pszczół
rozdaję nektar porcjami
jak router w pustym bloku z wielkiej płyty
przeczytał w Internecie
że populacja pszczół gwałtownie spada
i zmienił swój nick na czacie na “Apis intellectus”

Kobieta pozuje na zdjęciach na łonie natury
tu relaksuje na polu lawendy
tu robi wieniec z opadłych liści w jesiennym lesie
zobaczcie jak pasuje do krajobrazu
i wybaczycie jej
że uwielbia jedwabne sukienki
ponieważ po prostu nie wie
jak powstaje jedwab

Jednak wystarczy
wygaszamy ekran
wyłączamy wewnętrznego krytyka
przyciemniamy światło
uciszamy ten obwiniający głos

I koniecznie należy rozpieszczać
swojego wewnętrznego dziecka cukierkami
wykonanymi z naturalnych składników
oczywiście z sokiem z ekologicznych jabłek
bez dodatku cukru rzecz jasna bzzz_bzzz_bzzz

II NAGRODA

DUC THAO NGUYEN

Płacz lasu

Po załatwieniu sprawy związanej z pracą, skorzystałem z krótkiego wolnego czasu, jaki mi pozostał, żeby pójść na plażę. Przyjechać na wybrzeże i nie zobaczyć morza, nie zanurzyć dłoni w zimnej, słonej wodzie Bałtyku w środku jesieni, to jakby być w czeskiej Pradze i nie wypić choćby jednego cudownego piwa.

Ścieżka prowadząca na plażę wiła się przez gęsty sosnowy las. Wysokie i proste pnie sosen strzelające prosto do nieba, zakończone były bujnymi gałęziami z ciemnozielonymi igłami. Wśród igieł wisiały suche szyszki; niektóre z nich przy podmuchu wiatru spadały na brzozy i dęby, których liście mieniły się całą gamą jesiennego koloru. Szedłem wolno oddychając świeżym powietrzem. Leciutkie powietrze było wypełnione zapachem lasu zmieszanym ze słonym smakiem morza. Złote promienie słońca wplątały się w zielone igły sosen, czerwień liści dębów i tworzyły niesamowity obraz.

Przechodząc przez las, nagle usłyszałem czyjś płacz. Wokół mnie nie było żywego ducha. Ciarki przeszły mi po plecach, czułem się nieswojo, choć był dopiero środek dnia. Cóż, jestem tchórzem, zawsze bałem się duchów. Raz blisko, raz daleko, płacz towarzyszył mi aż do plaży.

Bałtyk był piękny jak zwykle. Tylko było bardzo zimno i wietrznie. Fale bez końca, jedna za drugą, wściekle wpadały na brzeg i rozpadały na tysiące drobinek. W sezonie pewnie nie łatwo znaleźć wolne miejsce, żeby rozłożyć ręcznik, ale dziś cała plaża była pusta. W zasięgu wzroku spacerowało tylko parę osób. Wędrując po plaży patrzyłem w kierunku sosnowego lasu. Coś nie dawało mi spokoju. Po kilkudziesięciu minutach przemarznięty wracałem.

Przechodząc przez las, znowu słyszałem ten sam płacz. Tym razem byłem pewien, że to nie był płacz człowieka lecz lasu. Dźwięk był raz bliski, raz daleki, niekiedy rozpaczliwie głośny, a za chwilę cichy jak szept. Czasami brzmiał jak niewyraźne wołanie czyjegoś imienia. Akurat mijałem dwie osoby, więc zapytałem ich o źródło dziwnego dźwięku, ale odpowiedzieli po niemiecku. Okazało się, że byli turystami, tak jak ja.

Tuż za lasem, po przeciwnej stronie ścieżki był otwarty jeszcze jeden barek mimo, że to już koniec sezonu turystycznego. Wstąpiłem, żeby napić się gorącej herbaty z cytryną. Właścicielka, utleniona blondynka przy tuszy, około czterdziestu lat, wycierała blat małego stolika. Stuknęła w bok starego mężczyznę, na oko osiemdziesięciolatka, z kuflem piwa w ręku: „Odsuń się!”. Usiadłszy z herbatą przy stoliku nieopodal, zapytałem kobietę:

- Przechodząc przez las usłyszałem dźwięk jakby las płakał. Od dwudziestu lat mieszkam przy lesie i nigdy nie słyszałem czegoś podobnego. Czy pani coś o tym wie?

Kobieta przecierając blat stolika mruknęła:

- Jestem tu tylko w sezonie. Niech pan zapyta tamtego pana. On jest stąd, może więcej wie.

Popatrzyłem na mężczyznę. Stara, zmęczona twarz z głębokimi bruzdami, wyblakłe oczy patrzyły bez celu na las sosnowy po przeciwnej stronie dróżki. Od czasu do czasu machinalnie pił z kufla, jakby jego myśli wędrowały daleko stąd. Właścicielka baru szeptała:

- Przychodzi codziennie, zamawia piwo i tak siedzi godzinami. Prawie się nie odzywa. Mało ludzi, więc nie wyganiam go. Niech siedzi.

Przyszła mi do głowy myśl. W samochodzie miałem butelkę alkoholu, prezent od kontrahenta. Poszedłem do auta po butelkę, prosiłem kobietę o dwa plastikowe kubki i podszedłem do dziwnego gościa. Kiedy zaproponowałem wódkę, oczy starszego człowieka zabłyszczały. Mruknął podziękowanie. Nalałem mu wódki do pełna , a sobie tylko troszkę i zagaiłem rozmowę.

Urodził się i wychował kilkaset kilometrów stąd. Ale mieszka tu od wielu lat. Od przejścia na emeryturę często odwiedza te okolice, patrzy na turystów, żeby nie czuć się samotnie. Mieszka sam niedaleko. Na początku jakby trochę się krępował opowiadając o sobie nieznanemu Azjacie, ale po kilku głębszych język mu się rozwiązał. Kiedy zapytałem o dźwięk jakby płacz lasu, długo siedział nie odzywając się. Coś mi podpowiadało, że to będzie niebanalna historia. „Wiele lat temu znajomy mi opowiedział" – zaczął zachrypniętym od alkoholu głosem, a może nie tylko.

„Wiele, wiele lat temu, w pewnej miejscowości żyła bardzo piękna młoda dziewczyna. Szczupła, zgrabna, z niebieskimi czystymi oczami i pięknymi blond włosami. Słowem, gdyby żyła w naszych czasach, z pewnością zdobyłaby koronę najpiękniejszej. A do tego czysta i bardzo wrażliwa dusza".

Starszy człowiek zamilkł, pociągnął z kubka spory łyk i kontynuował:

- Musi pan wiedzieć, że to był ostatni okres drugiej wojny światowej. No i koniec wojny. Ludzie mieli mnóstwo pracy, by odbudować zniszczony kraj. Mało kto interesował się czyjąś przeszłością.

Nie odezwałem się, bo nie wiedziałem do czego zmierzał starzec.

„Jej matka dość wcześnie zmarła, ona mieszkała z ojcem w podupadłej chacie bez wygód pod miasteczkiem. W jednoizbowej chacie były tylko dwa pojedyncze łóżka, mały stół i malutka kuchnia ogrzewana chrustem. Wiedziała, że ma urodę i nic więcej. Miała jakieś piętnaście lub szesnaście lat, kiedy hitlerowcy zajęli tamten teren. Dostała pracę w charakterze pomocnicy w kuchni w pobliskiej knajpie. Dzięki nietuzinkowej urodzie szybko awansowała na kelnerkę.

Gośćmi knajpy przeważnie byli Niemcy. Zdarzało się, że chłopcy w okolicy przychodzili do knajpy przyciągani urodą kelnerki i zazwyczaj mogli na nią patrzeć tylko z daleka, ponieważ wokół niej zawsze krążyli żołnierze niemieccy. Miejscowi plotkowali sporo o niej, że szpiegowała na rzecz Niemców, że była prostytutką i jej klientami byli hitlerowcy… Jaka była prawda, trudno powiedzieć. Ktoś przysięgał, że widział jak ona naga tańczyła na stole przed Niemcami. Po wojnie dalej pracowała jako kelnerka w knajpie. Niektóre źródła twierdziły, że w dalszym ciągu uprawiała najstarszy zawód świata z tym, że teraz jej klientami byli miejscowi dobrze usytuowani mężczyźni.

Pewnego dnia uległa wypadkowi komunikacyjnemu i straciła wzrok. Została zwolniona z pracy przez właściciela knajpy. Dzięki małym oszczędnościom żyła bardzo skromnie przy starym, chorowitym ojcu. Uczyła się żyć z niepełnosprawnością. Z radosnej i ciągle uśmiechniętej dziewczyny stała się cichą, odizolowaną osobą, tak jak ślimak schowała się w skorupce. Po jakimś czasie otworzyła malutką kwiaciarnię w miasteczku”.

Zamilkł. Dolałem mu wódki do kubka i podążyłem za wzrokiem tajemniczego rozmówcy. Słońce się schowało, wzmagał się wiatr, zanosiło się na burzę. Las z naprzeciwka wzburzył się jakby drzewa dostały ataku febry. Płacz lasu stał się głośniejszy, słychać było go aż tam, gdzie siedzieliśmy. Nie pospieszałem starszego pana, bo wiedziałem, że wcześniej czy później dowiem się tego, co chciałem wiedzieć.

„Pewnego dnia do miasteczka przyjechała na praktykę grupa studentów pewnej uczelni. Wśród nich wyróżniał się wysoki, przystojny młodzieniec. Był wschodzącym poetą, niedawno wydał pierwszy tomik poezji. Romantyczny młody student wędrował wszędzie i wpadał do każdego sklepiku w miasteczku i rzecz jasna nie unikał maleńkiej kwiaciarni. I tu przeżył spory szok stojąc naprzeciwko pięknej, młodej, lecz niewidomej kwiaciarki. Siła przyciągania jej urody była tak wielka, że nie było dnia, żeby nie przyszedł. Kupował kwiaty tylko po to, żeby być przy niej, móc z nią rozmawiać i na nią patrzeć bezkarnie, a w międzyczasie bukiet kwiatów potajemnie wędrował z powrotem do wiadra, skąd go dopiero co wyjęto. Dziewczyna jakby darzyła przybysza sympatią, więcej mówiła, śmiała się z jego dowcipów. Uśmiech częściej

gościł na jej ustach, pełnych i czerwonych choć nie było na nich śladu szminki, kiedy mówił jej komplementy. Na początku zachowywała dystans, traktując go jak dobrego klienta, stopniowo jednak jego błyskotliwość, inteligencja i humor skróciły dzielącą ich odległość. Rozmowy utworzyły nić, która połączyła ich z sobą. To jest klasyczny przykład gdy „kobieta kocha słuchem, mężczyzna kocha wzrokiem". Co miało przyjść, przyszło. Zakochali się miłością piękną jak w powieści. W ostatnim dniu jego praktyki obdarzali siebie wzajemnie gorącymi pocałunkami z jego obietnicą: za rok, po ukończeniu studiów, wróci tu i pobiorą się.

Następne dni i miesiące minęły się pod znakiem tęsknoty i niecierpliwości. On, młody poeta pisał i przesyłał jej mnóstwo pięknych wierszy, lecz ona z wiadomych powodów nie mogła ich przeczytać. Nie chciała nikogo o to prosić. Musiała czekać na ferie zimowe, kiedy przyjechał, i dopiero wtedy mogła wysłuchać ich z jego ust. „Kiedyś widziałem cały świat, dziś tylko Ciebie. Zasłoniłaś moje oczy swą miłością. Wzrok, kochanie, nam nie jest potrzebny. Czujemy siebie…" – takie słowa napisane na cieniutkim papierze kupowanym w najdroższych sklepach z papeteriami wyczuła tylko swoimi palcami i zrozumiała swoim sercem. Po jakimś czasie jej ojciec zmarł. Mieszkała sama w starej chacie czekając na zmianę w życiu na lepsze. Kilka miesięcy później on ukończył polonistykę. Zgodnie z obietnicą, wrócił do miasteczka i poprosił ją o rękę. Po skromnej uroczystości ślubnej zamieszkiwali razem w wynajętym mieszkaniu w mieście wojewódzkim".

W oczach mężczyzny tańczyły iskierki, jakby przeżywał szczęście młodych. Pociągnął łyk alkoholu, oblizał wyschnięte wargi i popatrzył na mnie jakby teraz dopiero widział mnie po raz pierwszy:

- Pewnie myśli pan sobie: i co z tego? Nie? Spokojnie, poczekaj pan!

„On znalazł pracę w redakcji dużego tygodnika. Zajmował się działem z poezją. Tygodnik często publikował jego wiersze napisane o żonie, dla żony. Miłość tak jak ogień, trawiła stronice każdego numeru tygodnika.

Któregoś dnia, był zaproszony na uroczyste spotkanie władz wojewódzkich z dziennikarzami. Na zaproszeniu było napisane „z osobą towarzyszącą". Kiedy ona o tym się dowiedziała, wyraziła niechęć. Nie chciała, by mąż miał jakiekolwiek nieprzyjemności z powodu jej niepełnosprawności. Długo musiał ją przekonywać, w końcu zgodziła się.

W dniu przyjęcia długo przygotowała się. Starannie, choć z trudnością wybrała suknię, buciki, najwięcej trudności miała z makijażem. Przy pomocy męża udało się wyśmienicie. Z radością weszła pod rękę z mężem do sali przyjęć.

Z dumą przedstawił żonę gościom. Rzeczywiście wyglądała bardzo pięknie, skupiła wzrok wszystkich uczestników uroczystości. Z wiadomych powodów nie mogła wiedzieć czy wśród gości byli jacyś znajomi. Jeden, po przedstawieniu jej przez męża zapytał po niemiecku:

- Fraulein Anna?

Skuliła się raptownie. Jej piękna twarz najpierw zaczerwieniła się, by potem przybrała kolor szary. Trzymała kurczowo rękę męża. Tamten kontynuował:

- To co? Dziś obsłuży nas pani? Dałaby pani radę z nami, po kolei, prawda?

Obróciła się i chciała uciekać, potykając się o krzesła, stała i machała rękami szukając wyjścia z piekła, które ktoś zgotował dla niej. Tu i teraz jej przeszłość była obnażona przez kogoś, nawet nie wiedziała kogo. Jej mąż krzyknął:

- O czym do diabła pan mówił? Uważaj pan mówiąc o mojej żonie!

Tamten odpowiedział spokojnie:

- Chciałem tylko powiedzieć, że jeszcze kilka lat temu pana żona obsługiwała seksualnie nawet batalion esesmanów. Nie wiedział pan?

Biedny mąż walnął pięścią w twarz tegoż gościa i pobiegł za żoną”.

Starszy mężczyzna zamilkł. Pociągnął łyk alkoholu i skrzywił się jakby połknął chininę. Nie odzywałem się, czekając na ciąg dalszy historii. Mocno zaczęło padać. Kilku turystów prędko biegło do swoich samochodów.

„Ponoć tej samej nocy wyznała wszystko o swojej przeszłości mężowi. Wyszedł z mieszkania i chodził bez celu przez całą noc. W sercu słyszał ciągle dźwięk pękającego na kawałki jego szczęścia.

Kilka dni później ochłonął. Pogodził się z żoną, obiecując zapomnieć wszystko co się wydarzyło w przeszłości. Pewnego dnia w środku śnieżnej i bardzo mroźnej zimy, zaproponował żonie odpoczynek nad morzem, motywując to chęcią poprawienia jej zdrowia nadszarpniętego wydarzeniem na przyjęciu. Zgodziła się.

Zapadł zmrok kiedy trzymając żonę za rękę prowadził ją przez sosnowy las. Śnieg skrzypiał pod butami. Zamiast na plażę, zaprowadził ją głęboko do lasu i opuścił. Uciekał prędko zasłaniając uszy, by nie usłyszeć płaczu żony gdzieś za jego plecami. Jej rozpaczliwy płacz gonił go aż do dróżki, gdzie zaparkował swoją starą syrenkę. Tamtej nocy temperatura spadła do minus piętnastu stopni Celsjusza".

Podniósłszy kubek wypił całą zawartość alkoholu. Wycierał usta rękawem i patrzył jak urzeczony na sosnowy las, gdzie drzewa machały rozpaczliwie liśćmi w deszczu.

- Teraz pan już wie, dlaczego las płacze.

Nie wiedziałem co powiedzieć. Czułem pustkę w sobie. Nie chciałem już nic więcej wiedzieć. Wiedziałem tylko, że nie jestem sędzią ludzkiej tragedii. Mruknąłem podziękowanie, zostawiłem butelkę pustą do połowy i w pośpiechu pobiegłem do samochodu. Deszcz jak bicz bił mnie po twarzy lecz nie zwracałem na to uwagi.

W maju następnego roku znowu pojechałem na wybrzeże w interesach. Po załatwieniu sprawy zawodowej przyszło mi na myśl, żeby pojechać do miejsca z zeszłej jesieni.

Było dość chłodno, bardzo mało turystów bo jeszcze przed sezonem. Przechodząc przez las sosnowy nasłuchiwałem płaczu lasu, który zrobił na mnie poprzednio tak mocne wrażenie. O dziwo, żadnego płaczu nie było słychać, jedynie szum młodych liści kiedy wiatr mocniej wiał. W drodze powrotnej do auta wstąpiłem do znanego baru. Myślałem, że pewnie jeszcze będzie zamknięty, ale miło byłem zaskoczony. Barek już był otwarty.

Postawna właścicielka, tym razem z ciemnymi włosami, zawzięcie sprzątała w barze. Po zamówieniu herbaty z cytryną zapytałem o starszego mężczyznę spotkanego tu zeszłego roku. Odpowiedziała ze smutkiem w głosie:

- Zmarł w grudniu, proszę pana.

Widząc moją zaskoczoną minę kobieta dodała:

- Znaleziono go tam, w lesie- pokazała na las naprzeciwko- zamarzł na śmierć trzymając się kurczowo jednej sosny. Nie wiem po co tam polazł?!

Ale ja wiedziałem. Co więcej, wiedziałem dlaczego las przestał płakać.

DYPLOM

III NAGRODA

DIANA BALYKO

#Belarus2020

— Podwyższyli — stwierdził zmęczonym głosem sędzia Piatakow, ale wcale nie błyszczał jak nowiutka moneta. Był wykończony całym tygodniem. Miał dość. Twarze, twarze, twarze… Te same sprawy, jak spod kalki. Te same wyroki. Dwa ulubione artykuły — udział w nielegalnych zgromadzeniach i nieposłuszeństwo funkcjonariuszom: od grzywny do piętnastu dób. Taśma. Sądowa fabryka. Krzyż lędźwiowy bolał już od poniedziałku, w piątek palił żywcem. Dobrze, że kupił piwo. Do wódki. Piatakow był ostrożny — czasy były takie, że trzeba.

Zaparkował pod samą klatką, spojrzał surowo na sąsiadów, mruknął jak zwykle: „przypizdki" i bez zbędnych rozmów wszedł na czwarte piętro.

***

— Kurwa mać, piwo ciepłe. No nie skurwic, — westchnął, ale i tak pociągnął łyk, bo pragnienie nie puszczało.

— Ciekawe, co tam w internetach piszą? — pomyślał i dopiero wtedy uświadomił sobie, że nie ma przy sobie telefonu. Został w samochodzie.

— Aaa, no pięknie… kurwa jego mać…

***

Ponieważ w działaniach był zawsze „logiczny", schodząc po telefon postanowił od razu wyrzucić śmieci. W wiadrze cuchnęły resztki niedojedzonej, wczorajszej czy przedwczorajszej ryby. Na dworze było ciemno. Sąsiedzi rozeszli się po domach. Jesienny, rozładowany chłodem i świeżością powiew był tak lekki, że aż chciało się go pić jak tlenowy koktajl. Nastrój Piatakowa podskoczył o jakieś 8,5 obrotu.

Z werwą przeszedł te pięćdziesiąt metrów od klatki do śmietnika, otworzył klapę, wstrzymał oddech, żeby nie wciągnąć smrodu i nie zepsuć sobie aromatu jesieni, rzucił zamaszyście zawiązany worek i… dostał pałką policyjną w plecy.

To było tak zaskakujące, że nawet nie zdążył się odwrócić. Cztery mocne ręce skręciły go i efektownie rzuciły twarzą w asfalt. Szczęka natychmiast odjechała gdzieś w bok. Po plecach i rękach przeszły ciężkie glany. Przeszły i jeszcze podskoczyły parę razy, rozgniatając dłonie. A wszystko w ciszy. Jakby bili go głuchoniemi.

Piatakow tylko buczał. Jak krzyczeć ze złamaną szczęką — tego jeszcze nie wiedział.

Cała operacja unieruchomienia trwała mniej niż minutę. Potem go podnieśli, potrząsnęli i sędzia ujrzał znajomy widok — pałkarze w cywilu i kominiarkach.

— Specjalna policja? Titułuszki? Tajniacy? — przemknęło mu przez głowę.

Zaciągnęli go do busa bez tablic, rzucili na podłogę — tam już leżeli inni unieruchomieni.

— Chujowi protestanci — pomyślał z wściekłością i tylko zamuczał. Szczęka nie była do współpracy.

Bus ruszył, podskoczył na progu zwalniającym i potoczył się nocą.

— Byle do dzielnicowej komendy policji, do Centralnej dzielnicy. Byle tam. Moi ludzie. Szybko się wyjaśni. A te gnidy… uduszę własnymi rękami, posadzę, każdemu po piąteczce. Byłby człowiek, a artykuł się znajdzie — zionął w myślach Piatakow.

Ale palce nie zaciskały się w pięści. Połamane. Piwko też szukało ujścia — i Piatakow się posikał.

— Dobrze, że leżę na tych trupach — pomyślał z satysfakcją i nawet nie próbował się powstrzymać.

***

Przywieźli na Okrestina, postawili, potrząsnęli i pogonili korytarzem śmierci pod uderzeniami pałek.

— Jakiś surrealizm. Absurd. Gówno, nie sprawa — zaczął się niepokoić. — I jeszcze piątek, cholera… Do poniedziałku nikt się mną nie zainteresuje. A to, kurwa… to będzie dłuuugo… Tu można zdechnąć…

Nagle ogarnął go czysty, lodowaty strach — i zwymiotował. Pałki spadły mocniej.

— Suko, ścierwo, wpierdalaj swoją rzygowinę! Wylizuj podłogę, mendo!

Ze złamaną szczęką nic wylizać się nie da, więc Piatakow po prostu upadł twarzą w wymioty i ni stąd, ni zowąd przypomniał sobie dowcip o zbieraniu wybitych zębów połamanymi palcami. Zęby — chyba — były całe. Chyba.

Postanowił natychmiast zemdleć. Albo udawać martwego. Może wezwą pogotowie. Ale jego bezwładność nikogo nie interesowała. Był kawałem mięsa, po którym chodzili w glanach.

Wokół świstały pałki, pękały bębenki od wrzasków, trwała rzeź. Nikt nie próbował przestrzegać procedur. Zero dokumentów, zero pytań, zero sprawdzenia tożsamości.

Piekło trwało dwadzieścia minut.

Potem się zmęczyli. W końcu byli tylko ludźmi. Nie da się katować bez przerwy. A może nadeszła nowa partia zatrzymanych — tego Piatakow nie wiedział.

Doprowadzono ich do pionu i wepchnięto do celi. W czteroosobowej było ich dwudziestu ośmiu. Taką torturę nazywa się sauną. Ludzie jak śledzie w beczce. Okno zamknięte. Brak powietrza. Ludzie mdleli.

Piatakow przestraszył się, że ktoś go rozpozna — któregoś z tych, którym w ostatnich dniach przyklepał piętnaście dób.

— Zaduszą mnie, skurwie… jak amen w pacierzu.

— Pić chcesz? — ktoś dotknął go życzliwie w ramię.

Odskoczył jak od trędowatego.

— Nie bój się. Już po wszystkim. Bestie się zmęczyły. Odpocznij — ktoś dalej go dotykał, podsuwając emaliowany kubek z rdzawą wodą.

— Dajcie mu się położyć. Widzicie, że ledwo żywy. Na głowie nie ma żywego miejsca!

Więźniowie zwolnili mu pryczę. Zwinął się w kłębek, zakrywając twarz i głowę, żeby go nie poznali. Ale i tak nie byłby do poznania — twarz, wcześniej gładka i wyniosła, zmieniła się nie do poznania.

***

Noc minęła jak koszmar. Sikał pod siebie, rzygał, ale nie próbował wstawać. Współwięźniowie go pocieszali, dawali wodę — a jego to wkurzało jeszcze bardziej niż policjanci.

Bo przecież to przez nich tu był, przez tych idiotów:

— Chcieliście wolności? To żryjcie swoją wolność! Ukradli wam głosy? To głosujcie do posinęnia! Po co budziliście smoka? Naszego świętego smoka! Karmimy go od 26 lat! Komu było źle? Komu? Mnie? Nigdy! Smok zjadł i spał. A my żyliśmy normalnie. Tu kogoś zgarnęli, tam posadzili, potem wypuścili. Wszyscy znali zasady. A teraz zasad nie ma — a smok jest.

I wściekły. No po chuj? Komu teraz lepiej? Teraz wszystkich w asfalt wcisną. Nawet mnie mielą w tych żarnach… — lamentował Piatakow.

***

W sobotę jedzenia nie dawali. Czynności śledczych nie prowadzono. Za to bawili się torturami. Wyciągali po jednym i „smażyli”. Smażyli też Piatakowa. Pałką. Ale tym razem od środka — analnie. W prezerwatywie. Żeby nie upaprać się kałem — bo pałka jeszcze musi „pracować”, bronić państwowości.

Piatakow buczał. Szczęka nie działała. Rękami nic nie napisze — połamane. Dokumentów nie miał — wyszedł z mieszkania w dresach i kapciach, z workiem śmieci, po telefon.

— Stary idiota. Frajer. Debil…

I wtedy zalało go nagłe zrozumienie: w poniedziałek, gdy się dowiedzą, kto jest kim — nikt go ratować nie będzie. Uduszą i powieszą na brzozie jako „ofiarę opozycji”. Jako przestrogę.

I zrobiło mu się strasznie zimno. Nawet z pałką w odbycie.

Zaczął błagać buczeniem o pogotowie. Tak żałośnie, że w końcu wypuścili go z „pieca” z powrotem do celi. A tam buczał dalej, więźniowie krzyczeli przez kratę, że nie chcą siedzieć z trupem.

Przyszedł lekarz — miejscowy. Kopnął go dwa razy, przełamał tabletkę aspiryny i zaśmiał się:

— Połówka na głowę, połówka na dupę.

Piatakow chciał ogłosić strajk głodowy, ale i tak ich nie karmiono. A powiedzieć nic nie mógł.

I nagle przesunął mu się przed oczami cały jego „dorobek”: wszystkich, których sądził, karał, skazywał. Statkiewicz, Sannikow, Kozulin, Nieklajew, Siwiereniec, Lebiadźko, Babaryka… Jakie nazwiska! Jaka kariera!

Z bezsilności zaczął walić głową w ścianę.

***

I… obudził się.

U siebie. Na czwartym piętrze. W moczu i wymiotach.

— Kurwa… ale se piątek urządziłem! Głowa pęka!

Dotknął czaszki. Ruszył szczęką. Podniósł się z trudem i powlókł się do lustra. Twarz była na miejscu. Pomarszczona, ale cała. I dupa nie bolała. Tylko krzyż — od siedzenia.

A wódę chlał, jak świnia, z rozpaczy — bo żona od niego odeszła. Córkę przeciw niemu nastawiła. Ukochaną, piękną, gwiazdę szkoły. Ta suka mówi, że nie może z nim żyć z powodów ideologicznych. Idiotka. Przecież wszystko mu się dopiero układa. Kariera idzie jak burza. Żyj i narzekaj? Ale nie — jej zawsze mało. Pewnie znalazła sobie młodszego jebutnego kochanka.

Ale nic — Piatakow nie był głupi. Trochę dedukcji — i będzie jej miał załatwioną sprawę na pięć latek. Byłby człowiek, a artykuł się znajdzie. Nie na darmo był sędzią z doświadczeniem.

***

Gdzieś w mieszkaniu zadzwonił telefon. Skrzywił się od ostrego dźwięku i zachwiał się w stronę melodii. Po tej piskliwej melodyjce poznał — dzwoni żona. Była.

— Czego chcesz? — burknął.

— Córka zniknęła! Całą noc do ciebie dzwonię! Gdzie ty, idioto?! Rano znalazłam ją na listach zatrzymanych na Okrestina! Co robić?! Przecież ona ma tylko 16 lat!

WYRÓŻNIENIE

DAVID CAMACHO LARGO

Stół

Nie wiem, dlaczego lubię siadać do stołu, by jeść.
Zastanawiam się i pytam sam siebie,
czy to coś, czego nauczyli mnie rodzice,
czy może społeczeństwo.

Po części chyba tak,
bo moja matka zawsze powtarzała,
że łóżko jest tylko do spania.
I w pewnym sensie, zgadzam się z nią.

Neurobiologia mówi, że łóżko powinno służyć przede wszystkim do snu.
A jednak lubię jeść w łóżku.

W mojej naturze leży kwestionowanie wszystkiego,
co zostało mi narzucone,
dlatego dziwi mnie, że mimo wszystko wolę jeść przy stole.

To nie matka.
Nie społeczeństwo.
A jednak lubię siedzieć.

Ten zmysłowy moment,
gdy twardość krzesła dotyka moich pośladków,
oparcie wspiera moje plecy,
a przedramiona znajdują spoczynek na blacie stołu.

To uczucie, gdy mogę oprzeć ciężar ciała na łokciu,
dotknąć czoła lub brody
i patrzeć w nieskończoność.

Ten piękny moment między obowiązkami,
który rodzi się pomiędzy przygotowaniem posiłku
a sprzątnięciem stołu, by wrócić do dorosłego życia,
to właśnie on mnie zachwyca.

Iskra spokoju.
Kieliszek nadziei.
Chwila, w której świat zwalnia,
a człowiek może spokojnie zamieszkać
we własnym umyśle, w wyobraźni,
i na moment pogłaskać swoją duszę.

Cóż za rozkosz, cóż za szczęście ten moment.
Ani matka, ani społeczeństwo mnie tego nie nauczyli.

Ciągle się zastanawiam, skąd to wiem,
gdzie się tego nauczyłem.
A może wcale się nie nauczyłem.

Nie tak, jak innych manier,
które wpajano mi, bym potrafił współdzielić stół podczas posiłku,
czy zasad rytuału wspólnego jedzenia:
najpierw podaj tym, których kochasz,
a chleb przekaż wszystkim, zanim weźmiesz dla siebie.

Nie wiem, skąd nauczyłem się tak bardzo
cieszyć się jedzeniem przy stole,
i może właśnie dlatego wierzę,
że to odbicie mojej prawdziwej istoty,
moich autentycznych upodobań.

Myślę, że w tych wątpliwościach

i w chwilach, gdy pytamy siebie
„skąd ja to wiem?” i nie znajdujemy odpowiedzi,
właśnie tam możemy stać się świadomi naszej prawdziwej tożsamości,
by powitać ją z czułością,
a w moim przypadku, zaprosić ją na filiżankę kawy.

W końcu stół i tak już był nakryty.

Moje myszy

Zrozumiałem, że lęki, niepokój i niepewność nigdy nie odejdą z mojego życia.
Będą tam, jak małe myszki, które szukają kryjówki.
Od czasu do czasu zauważam ich obecność i myślę, że je przepędziłem,
nie zdając sobie sprawy, że po prostu zmieniają miejsce,
z jednej szczeliny duszy do drugiej.
Te małe myszki mają swój dom we mnie,
choć chcę je przepędzić, mają pełne prawo tu mieszkać, bo są moje.
I, jako moje, czasem miło jest myśleć, że się zgubiły,
a potem, nagle, pojawiają się znikąd w codzienności mojego istnienia.
Miło je czasem zobaczyć,
a nawet martwię się, gdy znikają na dłużej.
Są stałym przypomnieniem mojej ludzkiej natury i mojej kruchości.
Od czasu do czasu zostawiam im okruszki odwagi
i w moich aktach odwagi widzę, jak wychodzą je zjeść.
Kocham je i potrzebuję,
choć czasem przeklinam, że przegryzają pewność moich ścian
albo odbierają mi sen, gdy wychodzą nocą.
Mimo wszystko, lubię je.
Zdarzyło się, że niektóre już mają imiona,
a inne dopiero poznaję.
Pomagają mi czuć, że mój świat jest pełny,

i pomagają mi naprawiać to, co ich zęby nadgryzły w moich meblach.
Tak, są psotne, ale są moje.
To one sprawiają, że mój dom nie jest zwykłym domem,
lecz staje się prawdziwym schronieniem.

Muchy

Zazdroszczę muchom, bo lecą tam, gdzie chcą,
są wolne, mogą pojawić się na tundrze albo na plaży,
ich wolność, w przeciwieństwie do motyli, polega na tym,
że pozostają niezauważone, pomylone z tym, co zwyczajne,
myślę, że to boska ochrona,
nikt na nie nie patrzy, nikt ich nie łapie,
nikt ich nie zatrzymuje, a one wędrują po świecie,
ciesząc się wszystkim,
od najbardziej odrażających odpadków
po najdelikatniejsze kwiaty,
korzystają z każdego daru życia,
bez wstrętu, bez wstydu, bez chwały.

Lekkie jak wiatr, a jednak stanowcze,
nigdy nie przechodzą niezauważone,
zazdroszczę im tej łatwości istnienia tam, gdzie zapragną,
tej zdolności przewidywania każdego ruchu,
jakby sam wszechświat szeptał im do ucha z upodobaniem,
zazdroszczę im tej absolutnej pewności,
z jaką oddają się aż po samą śmierć, bez lęku.

Zazdroszczę im, bo to one
będą ostatnimi istotami, które poczują skórę moich rodziców,
mojej siostry, moich przyjaciół i moich miłości,

wędrowne, nieśmiertelne przyjaciółki,
które były przed wszystkim
i pozostaną po niczym,
to one będą posłankami ostatniego słowa mojego ciała,
gdy moja dusza odejdzie
i zacznie błąkać się po kosmosie.

COPYRIGHT © BY FUNDACJA INNA PRZESTRZEŃ 2025

COPYRIGHT © BY TATIANA SHUISKAIA, DUC THAO NGUYEN,

DIANA BALYKO, DAVID CAMACHO LARGO 2025

PROJEKT OKŁADKI: PAWEŁ ŁĘCZUK

REDAKCJA: PAWEŁ ŁĘCZUK

ZDJĘCIA: PAWEŁ ŁĘCZUK, DIANA BALYKO, CAVID AĞA

PROJEKT GRAFICZNY LOGO PROJEKTU: WITOLD HEBANOWSKI

WYDAWCA

FUNDACJA INNA PRZESTRZEŃ

PROJEKT

DIALOG MIĘDZYJĘZYKOWY W PRAKTYCE

Projekt dofinansowany ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego
w ramach Programu Promocji Czytelnictwa.